

Nie musieliśmy zaczynać od zera

14 października 2014

Misterna konstrukcja propagandowa, przedstawiająca III RP jako niebywały sukces, chwieje się w posadach wraz z kolejnymi danymi napływającymi z przeróżnych stron, pokazującymi jak „sukces” ten wygląda naprawdę. Środowiska broniące kształtu przemian dzielnie znoszą wszystkie te ciosy, stosując różne rodzaje gard i uników, a czasem, gdy nadarza się okazja, same wyprowadzając uderzenie – oczywiście zawsze poniżej pasa. „Po stylu walki ich poznanie” wypadałoby powiedzieć. Nie inaczej było z raportem o stanie majątku obywateli różnych państw, zaserwowanym nam przez bank Credit Suisse. Upokarzające dla III RP dane, mówiące, że Polacy są wielokrotnie biedniejsi od obywateli wszystkich bez mała krajów zachodniej Europy (np. od wcale nie najbogatszych Włochów, bagatela, 10-krotnie), obrońcy transformacji sygnowanej podpisami Sachsa i Sorosa z właściwą sobie swadą zbyli argumentami mówiącymi, że my bogacimy się dopiero od 25 lat, a narody z Zachodu już od dawien dawna (oczywiście o mających podobną historię i niemal dwukrotnie bogatszych od nas Czechach się nie zająknęli). Nie należy przecież zapominać, że w czasach całkiem niedawno upadłego peerelowskiego ancien régime Polacy mieli zablokowaną drogę bogacenia się i ekonomicznego rozwoju. Inaczej mówiąc, wśród zwolenników leczenia gospodarki szokiem istnieje szeroki konsens, dający się sprowadzić do tezy, według której w czasach PRL w miejscu, w którym obecnie znajduje się Polska, zionęła czarna dziura lub co najwyżej leżało odłogiem ubite klepisko, na którym tylko cudem jakimś egzystowały miliony ludzi. Dopiero po 1989 r. ruszyła tu w miarę normalna działalność gospodarcza, więc nie ma co się dziwić, że statystyczny Polak jest biedny jak mysz kościelna. Nie pozostaje nam więc nic innego, jak tylko wciąż zaciskając zęby i pas harować w pocie i znoju, gonić niezmordowanie narody

Zachodu w wolnorynkowym wyścigu i mieszkając w wysłużonych kawalerkach cieszyć się z comiesięcznego wpływu „tysiąca pińcet”, z którego musi nam jeszcze wystarczyć na zakup najnowszego poradnika pt. „Trzeba się bić”, w którym szaman przemian Leszek B. powie nam, jak żyć.

Teza mówiąca, że w 1989 r. Polacy musieli de facto zaczynać od zera, nie tylko łatwo wpada w ucho – jest też szalenie wygodna, gdyż w polskich warunkach w zasadzie zabezpiecza przed jakąkolwiek krytyką przemian. Każdy, kto chciałby z tak postawioną tezą polemizować, musi przecież zacząć w pewien sposób bronić dorobku PRL, a na to raczej nikt nie ma specjalnej ochoty. Raz, że był to reżim delikatnie mówiąc mało przyjemny, a dwa, że łatwo wtedy narazić się na łatkę ignoranta wzdychającego z sentymentem za mitologizowanymi w niektórych wąskich kręgach czasami Gierka. Jako że mnie akurat przydzielane mi łatki średnio obchodzą (zależnie od środowiska, jestem określany faszystą i katolem lub socjalistą i lewakiem), a w zasadzie to nawet powoli zaczynają cieszyć (stając się hobby na kształt zbierania znaczków), ochoczo wejdę w buty adwokata diabła, by obejrzeć z bliska to wielkie zero, z którym rzekomo musieliśmy się zmierzyć przed 25 laty.

W sukurs przyjdą mi dane Angusa Maddisona, brytyjskiego eksperta od liczenia ujednoliconego PKB dla różnych krajów świata na przestrzeni wieków, w drobnym stopniu dopełnione szacunkami Aleksandra Pińskiego, przedstawionymi przez niego na Obserwatorze Finansowym. Obraz, który się z nich wyłania, dla niektórych może być dosyć zaskakujący. Okazuje się, że, patrząc z perspektywy PKB, PRL nie był wcale pasmem gospodarczych katastrof. Wręcz przeciwnie – na tle III RP wypada nie najgorzej. W 1947 r., a więc w momencie rozpoczęcia wdrażania pierwszego planu odbudowy kraju po wojnie (tzw. Plan Trzyletni), PKB na głowę mieszkańca wynosiło 1390 dolarów międzynarodowych (jednostka służąca do porównywania PKB w różnych krajach). 25 lat później PKB per capita wynosiło już 5010 dolarów. A więc wzrósł on ponad 3,5-krotnie. W 1989 r.

wynosił on 5684 dolarów na głowę, a w 2014 roku 12062. Czyli przez 25 lat III RP także wyraźnie wzrósł, ale już jedynie ponad dwukrotnie. A więc produkt krajowy brutto w pierwszym ćwierćwieczu wspaniale transformowanej III RP rósł dużo wolniej niż w pierwszym ćwierćwieczu istnienia nad Wisłą czarnej dziury, z której tak bohatercko wyciągali nas Balcerowicz i spółka. Oczywiście rycerze transformacji zawsze mogą stwierdzić, że odbudowa ze zgliszcz wojennych musi przynieść na papierze spektakularne wyniki, więc nic dziwnego, że PRL notował lepszy wzrost. Ale na to można odpowiedzieć co najmniej dwoma argumentami. Po pierwsze, przecież według oficjalnej wykładni również po 1989 r. odbudowywaliśmy kraj ze zgliszcz (które definitywnie wymagały błyskawicznej terapii szokowej). A skoro tak, wyniki III RP powinny być równie znakomite. Po drugie, przytoczone dane pokazują PKB na głowę mieszkańca. A w okresie powojennym liczba mieszkańców Polski błyskawicznie rosła – w 1947 było ich około 24 mln, a w 1972 już ponad 33 – co spowodowało, że osiągnięcie wzrostu PKB per capita było tym trudniejsze. Tymczasem według GUS w okresie 1989-2013 liczba ludności nad Wisłą utrzymuje się na poziomie około 38 mln. A więc PKB dla całego kraju rósł w latach 1947-1972 nieporównywalnie szybciej niż w okresie 1989-2014. Słowem, z przytoczonych tu danych wynika, że w powojennym ćwierćwieczu musiał być wytwarzany całkiem znaczący majątek. Nawet jeśli nie miał on charakteru takiego jak dziś (czyli głównie konsumpcyjnego) i należał formalnie do wszystkich, a nie do poszczególnych właścicieli, to z zerem nie miał nic wspólnego.

Wielbiciele obecnego kształtu III RP zachwycają się faktem, że PKB per capita wynosi w Polsce obecnie już 68 proc. średniej UE. Z danych Maddisona wynika, że w czasach szczytu rozwoju PRL (1978 r.) PKB na głowę Polaka wynosiło prawie 50 proc. średniej dla zachodniej Europy. Jak widać wynik ten nie był znowu tak wiele gorszy niż teraz. A trzeba pamiętać, że obecna średnia UE nie jest tym samym, co średnia zachodniej Europy z lat 70., gdyż współczesną unijną przeciętną znacznie zaniża

wiele krajów biedniejszych nawet od Polski, takich jak Bułgaria czy Rumunia. Bardziej porównywalne byłoby odniesienie do średniej dla strefy euro – wtedy polskie PKB per capita wynosi już tylko 63 proc., choć przecież do eurozony należą też kraje niespecjalnie zamożne, takie jak Łotwa czy Słowacja. W roku 1989 polskie PKB na głowę wynosiło 36 proc. średniej zachodniej Europy. To dużo mniej niż obecne 63 proc., ale od zera jest równie dalekie. A trzeba pamiętać, że ówczesne PKB stanowiło produkt rzeczywiście krajowy, gdyż środki produkcji były w zasadzie w całości w polskich rękach. Dawało to więc realne podstawy, by po rozsądnej restrukturyzacji gospodarki w duchu cywilizowanego kapitalizmu środki te stały się fundamentem, na którym można było zbudować majątek statystycznego Polaka, który mógłby sięgnąć nawet tej 1/3 przeciętnego majątku mieszkańca zachodniej Europy. Obecna struktura polskiego PKB, wytwarzanego w dużej mierze przez kapitał zagraniczny oraz charakteryzującego się jednym z najniższych w Europie udziałem płac, kończy się tym, że sięgnięcie naszego produktu krajowego brutto poziomu 68 proc. średniej UE pozwoliło przeciętnemu polskiemu gospodarstwu domowemu na nabycie majątku wartego zaledwie 10 proc. tego, co posiada statystyczne gospodarstwo domowe we Włoszech, a więc w kraju, który znajduje się prawie dokładnie na omawianej średniej (włoskie PKB to 98 proc. przeciętnej UE). Z tej perspektywy, sytuacja w 1989 r. wcale nie wygląda już tak dramatycznie źle, jak się nam mówi. Oczywiście PKB nie można odnosić w prostej linii do majątku, lecz do wytworzenia PKB bez wątpienia potrzebny jest majątek w postaci środków produkcji. A jego mieliśmy na tyle, by osiągnąć wartość ponad 1/3 średniej produkcji zachodniej Europy. Majątek ten mógł być podstawą do sprawiedliwego uwłaszczenia Polaków, bo przecież formalnie rzecz biorąc należał on w równej mierze do wszystkich. I gdyby tak się stało, wcale nie musielibyśmy zaczynać od zera. Mielibyśmy przyzwoitą wyprawkę – skromną bo skromną, ale zawsze.

Stało się jednak inaczej. Polskie środki produkcji zostały

wyprzedane (nierzadko bezcen), lub pozbyliśmy się ich w inny sposób (np. poprzez doprowadzanie do upadłości przedsiębiorstw – co zresztą też kończyło się zwykle wyprzedają za bezcen). Zawsze można postawić wytartą już tezę, że widocznie były one zacofane i nawet jeśli w 1989 r. produkowały tyle, ile produkowały, to nie dawały żadnych szans na rozwój. Ale to jest nieprawda. Upadek przedsiębiorstw był spowodowany idiotyczną polityką ekonomiczną, która wystawiła przedsiębiorstwa przyzwyczajone do działania w zupełnie innym systemie na nagłą konkurencję w warunkach gospodarki rynkowej, czego nie mogły przetrwać, gdyż ich struktura (organizacja zatrudnienia, zasady pracy itd.) była dopasowana do reguł gospodarki socjalistycznej, w której de facto nie było konkurencji. Jednak niedopasowanie strukturalne nie oznacza od razu zacofania technologicznego. Wymaga jednak czasu na dostosowanie, którego polskim przedsiębiorstwom nie dano ani trochę, wprowadzając ruchy, które przypominały wystawienie niemowląt lwom na pożarcie i następnie dziwienie się, że nie podjęły one walki. A przecież gdy niemowlę po jakimś czasie dorasta, to przestaje być bezbronne. Niestety ojcom polskiego kapitalizmu doktryna „przemysłów raczkujących”, która stała się przed wiekami podstawą rozwoju kapitalizmu brytyjskiego i amerykańskiego, była zupełnie obca. Zamiast więc dbać troskliwie o swe raczkujące pociechy, Polacy postąpili jak wyrodni rodzice i otwarli swą gospodarkę na zagraniczny kapitał w taki sposób, że niektórzy eksperci zaczęli nazywać Polskę Hongkongiem Europy (Hongkong jest jednym z najbardziej otwartych na wolny handel krajów na świecie). Zlikwidowano wszelkie pozwolenia na import oraz wprowadzono niski podatek importowy, co w połączeniu z nagłym odcięciem polskich firm od kapitału (zniesienie wszelkich dopłat z budżetu oraz preferencyjnych kredytów banku centralnego, znaczny wzrost oprocentowania kredytów, nawet tych wcześniej zaciągniętych) wystawiło je na rzeź. Zamiast przemysłanej transformacji mieliśmy więc skok na główkę do basenu, z którego wcześniej sami spuściliśmy wodę. A autorzy tej „strategii” uważani są dziś za ekspertów. Wołać o pomstę do nieba to mało.

Przez Polskę przetoczyła się więc fala upadku przedsiębiorstw. I to w niektórych przypadkach bardzo nowoczesnych. Warszawski zakład CEMI produkujący układy scalone, diody i tranzystory zatrudniał ok. 8 tys. pracowników i był największym tego typu zakładem w naszym rejonie Europy. Zbankrutował w wyniku nagłego zwiększenia wartości marży kredytu i dumpingowej konkurencji. Słynne Zakłady Radiowe im. Kasprzaka, produkujące wysokiej klasy magnetofony i zatrudniające 6 tys. pracowników, zbankrutowały z podobnych powodów, czym pociągnęły ze sobą na dno dwie współpracujące z nimi firmy: Muflex i Cemat. Upadła także kolejna fabryka magnetofonów, tym razem z Lubartowa – produkowała nowoczesne magnetofony odporne na wstrząsy, wykorzystywane np. przez wojsko. Kolejna słynna firma, czyli Zakłady Telewizyjne Elemis również ucierpiała w wyniku wzrostu wartości kredytu, a także odcięcia od finansowania, pomimo perspektywy wielkiego kontraktu na 100 tys. odbiorników. Dobiła ją zagraniczna konkurencja ze strony Philipsa i Thompsona, którym... udzielono ulg podatkowych. Chyba właśnie po to, żeby dobić Elemis. Terapii szokowej nie wytrzymał także ZOPAN, produkujący unikalną aparaturę pomiarową. A także wiele innych firm, takich jak Telpod czy Fonica.

Kolejnym gwoździem do trumny polskiej przedsiębiorczości była szeroka prywatyzacja, oparta na dwóch błędnych założeniach. Pierwsze było takie, że przedsiębiorstwa prywatne zawsze działają bardziej efektywnie niż publiczne. Drugie było oparte na przeświadczeniu, że cały postpeerelowski majątek to, cytując klasyka, co najwyżej „kamieni kupa”. Z obu założeń zagraniczni inwestorzy korzystali ochoczo i z uśmiechem na ustach. Często nie robili tego nawet z myślą o dalszych inwestycjach, a raczej w celu likwidacji niepotrzebnej konkurencji. Sztandarowe przykłady takiego działania to poczynania Siemensu. Kupił on wielkie zakłady telefoniczne ZWUT, które wcześniej praktycznie zmonopolizowały produkcję i konserwację telefonów w Polsce i ZSRR i zatrudniały ok. 4 tys. pracowników. Niemcy błyskawicznie wręczyli wszystkim wypowiedzenia, a następnie... zburzyli budynki zakładowe.

Zapewne tak dla pewności, że już nic się w tym miejscu nie urodzi. Dokładnie tę samą strategię Siemens obrał w przypadku Zakładu Komputerowego Elwro z Wrocławia – tym razem łaskawie zostawiając jeden budynek, w którym pozostawił marginalną produkcję przewodów. Ciekawy jest również przypadek firmy Polam, produkującej lampy i inne urządzenia świetlne. Inwestor, który ją zakupił także uznał, że spora część budynków jest mu niepotrzebna, a na zgłiszczach Polamu produkuje... kartony. Nie ostały się również Dzierżoniowskie Zakłady Radiowe, pomimo wcześniejszych sporych inwestycji w linie produkcyjne. Po prywatyzacji zakłady te odchudzono o... 90 proc. Własną strategię wybijania zębów polskiemu przemysłowi przyjął szwedzko-szwajcarski koncern Asea Brown Boveri Ltd. W kolejnych kupowanych przez siebie firmach elektronicznych zamieniał produkcję gotowych wyrobów na wytwarzanie elementów do nich. Tak postąpił w przypadku warszawskiego Megatexu, wrocławskiego Dolmetu oraz łódzkiej Elty.

Prawdziwe Eldorado zagraniczni inwestorzy mieli jednak dopiero wtedy, gdy za grosze nabywali nad Wisłą największe perły peerelowskiego przemysłu. Zakłady Papierowe w Kwidzynie były przedsiębiorstwem wyjątkowo nowoczesnym. Jeszcze pod koniec lat 70. za ok. 400 mln dolarów zakupiono sprzęt z Kanady, a za drugie tyle dozbrojono ziemię i rozbudowano infrastrukturę. Tymczasem Amerykanie z International Paper Group w roku 1990 kupili 80 proc. akcji za zaledwie 120 mln dolarów. Ale to jeszcze i tak nic, gdyż suma zwolnień podatkowych, jakie uzyskali w zamian za to, wyniosła w sumie... 142 mln dolarów. Inaczej mówiąc, dopłaciliśmy Amerykanom za to, że łaskawie wzięli od nas bardzo nowoczesną fabrykę. Dwa lata później prezes International Paper przechwalał się w amerykańskiej prasie, że takiej transakcji nie dałby rady zawrzeć pod żadną inną szerokością geograficzną na świecie. Największym skandalem prywatyzacyjnym była chyba sprzedaż Huty Warszawa. Choć była wyceniana nawet na 3 mld dolarów, 51 proc. jej akcji zostało sprzedanych za... niecałe 34 mln. Sam grunt do tej transakcji został wyceniony po cenie 38,5 tys. zł za metr

kwadratowy, choć ceny rynkowe ziemi w Warszawie wahały się w tamtym okresie między 320 a 900 tys. zł za metr. Także inne polskie huty sprzedano za śmiesznie niskie kwoty. Spółka Polskie Huty Stali, skupiająca 4 wielkie huty, została zakupiona przez Mittal Steel Company za 1,43 mld zł, co stanowiło zaledwie 48 proc. zysku wypracowanego przez sprywatyzowaną grupę już w pierwszym roku po prywatyzacji. Na sprzedaży tej NIK nie zostawił suchej nitki, stwierdzając w protokole pokontrolnym, że jej wartość została zaniżona o 2 mld zł. Przybysze zza granicy robili także swe interesy życia w polskim sektorze finansowym. Wielkopolski Bank Kredytowy, obecny BZ WBK, został w dużej części sprzedany Europejskiemu Bankowi Odbudowy i Rozwoju, który po niedługim czasie sprzedał wszystkie swoje akcje irlandzkiemu AIB z... sześciokrotnym przebicciem. To i tak nic, w porównaniu z losem Banku Śląskiego. Dużą jego część sprzedano go holenderskiemu ING wyceniając jedną akcję na 500 tys. zł, tymczasem już po pierwszym notowaniu giełdowym cena ta wzrosła... 13,5-krotnie. Po tym skandalu do dymisji podał się minister finansów Marek Borowski, a NIK przeprowadziła kontrolę, w wyniku której dopatrzyła się w transakcji znamion przestępstwa oraz wykazała zaniżenie kapitału banku przed prywatyzacją o ponad bilion starych złotych. Nie przeszkodziło to jednak Holendrom w zakupie kolejnych akcji, w związku z czym w 1996 r. bezboleśnie stali się większościowym udziałowcem jednej z najzdrowszych instytucji finansowych III RP.

Dane statystyczne, pokazujące skalę destrukcji polskiego przemysłu w wyniku zdziczałej transformacji, jeżą włos na głowie. Zatrudnienie w zakładach wysokiej techniki spadło o 50 proc., co objęło ok. 200 tys. pracowników. Produkcja aparatury informatycznej spadła o 26 proc., optycznej o 36,5 proc., maszyn i urządzeń energetycznych o 45 proc., a urządzeń elektronicznych aż o 66,5 proc. W porównaniu do 1989 r., w roku 1994 produkowaliśmy już tylko niecałe 7 proc. tranzystorów, 0,6 proc. układów scalonych, 12 proc. silników przemysłowych, 5 proc. kombajnów zbożowych, 20 proc. aparatury

rozdzielczej i zabezpieczeniowej wysokiego i niskiego napięcia, 12 proc. odbiorników radiowych oraz 6 proc. żurawi i 25 proc. suwnic. Jak widać zaledwie 5 lat wystarczyło, żeby zupełnie znokautować polski przemysł.

Nie chciałbym być źle zrozumiany – nie zamierzam bronić PRL-u jako systemu polityczno-ekonomicznego. Uważam, że bardzo dobrze się stało, że upadł. Jednak dyskredytowanie dokładnie wszystkiego, co z nim związane, jest na rękę głównie tym, którzy odpowiadają za kształt coraz bardziej skompromitowanej III RP, zapewniając im wygodne alibi, dzięki któremu mogą swobodnie opowiadać, że obecna bieda naszego społeczeństwa jest spowodowana przede wszystkim tym, że lata 1945-1989 zostały wyrwane z naszej gospodarczej historii. A tymczasem wcale nie zostały wyrwane. Prawdziwą wyrwę uczyniła dopiero zdżiczająca transformacja, w wyniku której cały ekonomiczny dorobek PRL (który, owszem, nie był zbyt duży, ale jednak jakiś był) rozszedł się nawet nie wiadomo do końca gdzie. Paradoksem jest, że antykomunizm prezentowany przez wiele środowisk wielce krytycznie nastawionych do III RP jest na rękę głównie... elitom III RP. Zastępy średnio rozgarniętych „prawaczków” licytują się na antykomunizm, nie zdając sobie sprawy, że leją miód na serca tych, którzy najpierw przepuścili nasz majątek, a teraz rzną głupa, że przecież żadnego majątku nie było, bo w 1989 r. zaczynaliśmy od zera, a PRL to była jedynie nic niewarta sterta ruin. Otóż nie była.

Autor: Piotr Wójcik

Źródło: [Nowy Obywatel](#)